Nr. 48. We Lwowie, Poniedziałek dnia 1. grudnia 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Kronika Paryska.

w listopadzie 1890.

(Plaga reporterska. — W szkole sztuk pięknych. — Stan marynarki wojennej. — Następca tronu duńskiego. — Nowości teatralne).

„France" rozesłała do rozmaitych osobistości kwestyonarjusz w sprawie interwiewów dziennikarskich i ogłosiła rezultat otrzymanych odpowiedzi. Brzmią one rozmaicie.

A więc najpierw Saint-Saens, który oczywiście zapomnieć nie może, że to reporterzy wytropili go niedawno na wyspach balearskich.

„Czy ja mogę dać dobre słowo ludziom, którzy przychodzą z całą niedyskrecją pytać się człowieka co jadł na śniadanie, jaką wczoraj czytał książkę, co robi co robić, zamierza?

„Przyjacielu — mawiał Wiktor Hugo — ukrywaj przed światem swe życie, dawaj światu wszystko co czujesz i myślisz.

„Interview, reporter — to cierpienie.

„A skoro mam sposobność, więc korzystam z niej i uprzedzam, że reporterów, owych rycerzy niedyskrecji, przyjmować będę w przyszłości jak najgorzej. Nie dla tego, żebym osobiście miał co przeciw nim, ale rzemiosła ich, tego systemu wywiadowczego nienawidzę i znosić go, cierpieć pobłażliwie nie myślę.

„*Kamil Saint-Saens*".

„Łaskawy panie, reportaż i interview są to dwie postacie nienawistnej mi zawsze i wszędzie intruzji i niedyskrecji. Jest to kradzież z włamaniem części naszego życia prywatnego. Sądzę, że to daje dokładne pojęcie co o tem myślę.

„*Karol Gounod*".

„Panie! Reporter przychodzi, albo się go przyjmuje, albo nie. Jeżeli się go przyjmie trawestuje to co słyszał i widział, czyni z ciebie wspólnika swojej ignorancji. Jeżeli się go nieprzyjmie, zelże bezczelnie rozmowę której nie było, albo wydrukuje, że nie przyjąwszy go znieważyłeś „prasę"(!). Domyśl się zatem, co ja myślę o reporterze i interviewie. „*Sardou*".

„Dajcie mi spokój święty! Ani czytać interviewów ani doznawać ich nie lubię. Co mnie obchodzi czy Gounod lubi rzodkiewkę, albo Gounoda, czy ja lubię?

„*Coquelin młodszy*".

„Są dwa typy reporterów.

„Pierwszy — to dziennikarz bez talentu, który uprawia rzemiosło nudne dla siebie, ale zajmujące dla pewnej części publiczności, chciwej szczegółów życia prywatnego niektórych ludzi. Ten może być uczciwym człowiekiem i zdając sumiennie sprawę z tego co widzi i słyszy, zarabiać uczciwie na życie.

„Ale jest inny typ reportera, prawdziwa zakała dziennikarstwa, za pan brat z lokajami, wciskający się do twego buduaru lub gabinetu, kradnący nieraz jak go nikt nie widzi, chytry, przebiegły i do kradzieży i do szantażu zdolny. Tego zniweczyć, tego zmiażdżyć należy.

„Na dziesięciu reporterów jeden bywa *podobnym* do pierwszego typu...

„*Sara Bernhardt*".

„Panie! Interview jest niebezpieczeństwem, Przyzwyczaja on mężów stanu do improwizowania swoich przekonań.

„Niechaj członek parlamentu z trybuny głosi to co myśli, niechaj zabiera głos w komisji, wśród kolegów. Niechaj nie wynosi swych opinij na targowisko publiczne za pośrednictwem reporterów. „*Leon Say*".

„Panie, chciej wybaczyć, że nie powiem co myślę o reporterze i interviewie. Kiedy nie mam nic dobrego do powiedzenia o ludziach i rzeczach — milczę; jest to jedyny sposób okazania im pobłażliwości i dobroci.

„*O. Dilon*".

Że powyższe siedem głosów są szczere nikt chyba nie wątpi. Innych nie przytaczam — szkoda miejsca. Cztery osoby nadesłały odpowiedzi obojętne: księżna d'Uzes, Dumas syn, Eiffel i Henryk Fouquier dziennikarz; odpowiedzi uprzejmie lub nieuśmiechnięte nawet dla reportarżu dały następujące osobistości: dziennikarz Weiss, J. Claretie, Emil Zola Coppée, Pasteur, J. Ollivier, J. Simon i kilku dziennikarzy; o których mniejsza.

Roztworzyły się właśnie żelazne sztachety, okalające galerję Szkoły Sztuk pięknych; stypendyści z willi Medyceuszów w Rzymie nadesłali swe doroczne prace; wejdźmy więc i spojrzyjmy na utwory młodych naszych malarzy i rzeźbiarzy. Co roku też przysądza Szkoła Sztuk Pięknych nagrody konkursowe, noszące nazwę „nagród rzymskich". Na lat kilka nagrodzeni artyści przenoszą się do Rzymu, gdzie zamieszkują willę Medyceuszów, i tam pod okiem delegowanego urzędnika Wydziału Sztuk Pięknych doskonalą się jakoby w malarstwie lub rzeźbiarstwie. Powiadamy umyślnie „jakoby", bo cóż może mieć wspólnego z artyzmem taka mazanina jak te trzy Włoszki, któremi nas uraczył pan Axilette? Proszę sobie wyobrazić trzy niewieście postacie nurzające się w porcji szpinaku i kontrast białej płci z jasnozielonem warzywem: to ma być obraz zatytułowany „Lato". Inny stypendysta, pan Danger, przedstawia nam pod nazwą „Venus genitrix" dużą dziewuchę, rudą, z obfitem ciałem nachyloną ku małemu Kupidynkowi w tak szczególny sposób, że wygląda to, jak gdyby

chciała mu brać miarę na majteczki. W robocie wykończenie i wymuskanie; na obrazie widać nawet kilka liter greckich; wogóle jednak ani to poważne ani ładne. Trzeci stypendysta p. Thus uczynił „Diogenesa“. Może to nieco lepsza od tamtych praca; ale jakby zarys tylko, upoważniający widza do domyślania się, że mogłoby to coś być z tego, gdyby wykończone zostało. Dalej p. Lebeyle nadesłał rzecz niezłą: lecz z obawy chybienia w popisie z własnym pomysłem, namalował po prostu kopię z części fresku Fra Angelico przedstawiającego „ Kazanie św. Stefana“.

Z rzeźb dwie tylko dostrzegliśmy rzeczy uwagi godniejsze: „Zagadka“, sfinx w niewieściej postaci, dosyć starannie wykonany, i „Miłość“. Obie dłuta pana Convers. Ostatnia szczególniej zalecała się wdziękiem i wykończeniem. Architektura wystąpiła daleko korzystniej, i to już nie po raz pierwszy; od lat kilku bez przerwy architekci ze Szkoły Sztuk Pięknych z wyborowemi przedstawiają się pracami. P. André wypracował z wielką biegłością plan odnowienia starożytnego cyrku rzymskiego, a p. Defrasse wystawił piękny rysunek Złotego Domu w Wenecyi. Dziwna rzecz, iż tacy ukształceni architekci tak piękne wznoszący gmachy na papierze, nie potrafią pokierować budową pospolitej kamienicy o trzech oknach.

Że marynarka francuzka świetna nie jest o tem wiedzieliśmy dawno. Na posiedzeniu parlamentu przekonaliśmy się dowodnie, jak dalece złe i nieumiejętne gospodarstwo, przy olbrzymich kredytach, przyczynia się do tego. Krótko mówiąc, marynarka, która za Napoleona pierwsze zajmowała miejsce, dzisiaj nietylko z angielską mierzyć się nie może — o tem poprostu nie ma mowy — ale nie dorównywa państwom trójprzymierza.

Dowiedzieliśmy się o tem podczas obrad nad budżetem ministerjum marynarki, dzięki gruntownej i wyczerpującej mowie deputowanego p. Gerville Reache. Zobaczmy — powiada p. Gerville Reache — jak się przedstawiały marynarki europejskie w roku 1871. W roku 1871 Francja miała 405 okrętów wojennych, Anglia 378, Rosja 126, Włochy 74, Austrja 69, Niemcy 47. Inaczej mówiąc państwa dzisiejszego trójprzymierza razem wzi te, mogły przeciwstawić naszym 405 okrętom zaledwie 190 swoich.

Jak wygląda sytuacja w roku 1890?

Francja ma 431 okrętów wojennych, to jest o 26 więcej niż w r. 1871; Anglja 530, to jest o 142 więcej; Rosja 285, czyli o 139 więcej; Niemcy 288, to jest o 241 więcej! Włochy 271 to jest o 197 więcej! Austrja 126 czyli o 57 więcej niż w roku 1871. Więc gdy Niemcy pomnożyły sześciokrotnie swoją flotę, Francji przybytek równa się zaledwie 6%. A jakie były w tym okresie wydatki na flotę?

Francja wydała w ciągu tych lat 20 sumę przewyższającą o miliard franków, to co wydały razem państwa potrójnego przymierza. Cyfry są takie: Francja wydała 3,637.000,000 franków, Niemcy 1 miliard, Włochy 1,101 milionów, Austrja 470 milionów. Tylko Anglia wydała więcej bo 4,335 milionów. Dlaczego tak jest? — zapytuje mowca i dodaje: — Panowie nie macie pojęcia o gospodarstwie, jakie się prowadzi w naszem ministerstwie morskiem. Dla przykładu przedstawię tylko jeden obrazek. W jednym tylko porcie w Brest, mamy następujące nieużyteczne zapasy: 2.000 tonn kotwic, 70 kilometrów łańcuchów. 130,000 sztuk przeróżnego niepotrzebnego żelaziwa. Wszystko to było robione na zamówienie i teraz jest do sprzedania za bezcen rozumie się. Otóż od roku 1876 do 1889 magazyny morskie zakwalifikowały na sprzedaż rozmaitych zapasów robionych na sumę przenoszącą sto milionów franków. (*Okrzyki w izbie*).

„Są porty w których mamy zapasy lin i pierścieni żelaznych do nich na sto lat z górą! W pewnym szpitalu morskim wypada na jednego chorego, po 50 kołder, 45 koszul, 18 krawatów i 18 szlafmyc bawełnianych!“ *(Okrzyki zgrozy i śmiechu).* Izba śmieje się czas jakiś, ale śmiać się nie przestaje, kiedy mowca oznajmia, że aż do roku 1886 Francja budowała okręty z drzewa, kiedy już żadne państwo od dawna tego nie czyniło. Ale dlaczego tak było? Bo trzeba było spożytkować zapasy budulcu zapłaconego pięknym funduszem 70 milionów franków. „A teraz jak się robią zamówienia i jak się płacą — posłuchajcie panowie. „W Rochefort płaci się za jednostkę danego towaru 2 franki; w Cherbourgu za to samo płaci się 10 fr. To samo za co w Tulonie płaci się 5 fr., w Brest kosztuje 20 franków. W jednej i tej samej rubryce widziałem tą samą ilość tapioki kupioną za 50 fr. i za 310 franków!“.

Pan Gerville-Reache mówił długo w ten sposób. Niepodobna mowy tu przytaczać w całości, zresztą powyższe urywki dają pojęcie o pięknem gospodarstwie w ministerjum marynarki.

Przechodząc od tych kwestyj poważniejszych do lżejszych, zaznaczamy przedewszystkiem pobyt następcy tronu duńskiego z żoną. Są oni tu wielce popularni, a chociaż zachowują ścisłe incognito, zarzucili je dla obiadu danego na ich cześć przez państwo Carnot. Odwidzają co wieczór jeden z teatrow i używają w całej pełni przyjemności stolicy nadsekwańskiej.

A w teatrach jest zawsze nowości pełno. Najudatniejsza jest komedja Meilhac'a w Variétés, grana z szalonem powodzeniem: Ma cousine. Ten wykwintny a dowcipny skeptyk dodał nową stronę do licznego już zastępu swoich obrazków dzisiejszego społeczeństwa. Intrygi żadnej, fantazji wiele, a w rozmowie skrzącej dowcipem rysują się charaktery pełne oryginalności. Ta sztuka jest grana przez panią Rejane i Barona z lekkością i z wielkim humorem.

Komedja francuzka otwarła swą scenę dla Paryżanki p. Becque'a. Ten utwór pisarza pesymistycznego, którego młoda szkoła dramatyczna uważa za swego proroka, był już znany od lat kilku nietylko ze sceny, ale i z nieskończonych polemik, które wywołał. Była kwestja, czy przeniesiony na tę wielką scenę wytrzyma krytykę i zachowa swój urok. Przyjęty został przychylnie, ale w ogóle twierdzono, że niewarto było tyle czynić hałasu o tę sztukę suchą, oschłą cyniczną w swej niemoralności, pozbawioną fantazji i poezji i nudnej przez powtarzanie ciągłe jednej i tej samej sytuacji.

Age critique, sztuka p. Byl'a należy do tej samej szkoły naturalistycznej. Na scenie Menus

Plaisirs wywołała protestacyę swoją niemoralnością. W obec widocznych niepowodzeń tej szkoły, młodzi pisarze teatralni prawdopodobnie zmienią kierunek.

Z nowel Tołstoja.

Dwaj staruszkowie.

Człek się pewnie położył w chłudek — ale słońce świeci mu wprost na twarz, i on spoczywa, ale nie spi. Jelisej prosi go o wodę, ale człowiek mu nie odpowiada. Chory, czy niechętny? myśli Jelisej i idzie wprost ku drzwiom. Słucha w chacie płacz dwojga dzieci. Zapukał.

— „Gospodarzu“!

Żadnej odpowiedzi. Puka raz drugi.

— Chrześcjanie!

Cisza. Nikt nie odpowiada — i Jelisej chce odejść ale słyszy stękanie za drzwiami. Czy nieszczęście jakie? Trzeba spojrzeć i wszedł do chaty.

Nie była zamknięta. Przeszedł sień i wszedł do izby. Na lewo piec; na prawo w kącie i stół — za stołem ława. Na ławie siedzi staruszka, tylko w jednej koszulinie — z głową na stole opartą. Obok niej stoi mały chłopak twarz: czysty wosk, ciało opuchłe — szarpie starą za rękaw — płacze i prosi o coś. Ciężkie powietrze w chacie. Jelisej patrzy: aż tu na przypiecku leży znowu kobieta.

Ujrzawszy obcego człowieka, podniosła starula głowę.

— Czego żądasz? rzekła po małorusku: „My nie mamy nic, człecze.

— Bóg z wami-- ozwał się—chciałbym się napić wody.

— Nie ma nikogo, coby ją przyniósł. Idż sam, jak chcesz.

— Co — więc u was niema nikogo zdrowego?

— Nikogo. Człowiek umiera na podwórzu a my tu.

Chłopiec zamilkł — ujrzawszy obcego.

Jednak skoro się tylko stara odezwała, chwycił ją za rękaw i skomlał: „Chleba, babciu, chleba“! I w płacz.

A w tem wsunął się chłop do chałupy; szedł macając rękami o ścianę, chciał usiąść na ławie, ale nie trafił i zsunął się na ziemię. Nie był już w mocy się podnieść i tylko szepcze, czerpiąc za każdym słowem oddech:

— Słabość nas zmogła i głód. Ot... z głodu umiera. I pokazuje ze łzami na chłopca.

Jelisej zrzuca worek na ławę, rozwiązuje go, dobywa chleba i noża, odkroił kromkę i podaje ją chłopu. Chłop nie wziął chleba, lecz wskazał na chłopca: Ten wyciągnął już obie rączki, obiema chwycił chleb i zanurzył całą twarz w kromce. Z pieca zlazła dziewczynka i pożera chleb oczyma. I tej dał Jelisej. Ukroił jeszcze kromkę i dał ją starej; stara chwyciła chleb i chciwie połykała.

— Trzebaby przynieść wody—rzekła—w gardle im wyschło... Ot, chciałam wczoraj... czy dziś już sama nie wiem — zaczerpnąć wody; wyciągłam konew z biedą ale ani unieść — wylała się i ja padłam. Z biedą zawlokłam się do domu. Konew musi tam leżeć, jeżeli jej nikt nie zabrał.

Jelisej zapytał o studnię; stara wskazała. Wyszedł... przyniósł wody i dał im się napić.

Dzieci jeszcze po kawałku chleba zjadły i popiły wodą i stara jadła — ale chłop nie chciał.

— Nie mogę, rośnie mi w gębie — rzecze.

Kobieta na przypiecku rzucała się niespokojnie. Jelisej poszedł na wieś, kupił kaszy, soli, mąki, oliwy, poszukał siekiery narąbał drzewa i napalił w piecu. Dziewczynka mu pomogła. Ugotował zupę, kaszę i dał jeść biednym ludziom.

5.

Pokosztował chłop odrobinę, staruszka zjadła więcej. Dziewczynka i chłopczyk wylizali garnuszek i ułożyli się do snu.

— Dotąd żyliśmy z ciężką biedą — opowiadali nic wcale nam nie zaszło. Od jesieni spożywaliśmy resztki. Gdyśmy wszystko już zjedli, udaliśmy się do sąsiadów i dobrych ludzi. Zrazu dawali, potem odmówili. Jużcić daliby z ochotą, ale sami już nic nie mieli. Potem wstydno nam było i udawać się do ludzi; każdemu byliśmy winni: to pieniędzy, to mąki, to chleba wreszcie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Serce Szekspira.

(Dokończenie).

Faktem jest, że mężczyzna, genjalny nawet, choć w kobiecie umie poznać, ocenić i uczcić zalety umysłu i serca, zakochać się w nich jednak nie potrafi. Gorzką dla czułych serc prawdą jest i to także, że miłość obywać się potrafi i bez szacunku, i że jest nietylko „silniejszą od śmierci“ — jak mówi właśnie przysłowie — lecz że ma władzę unicestwiać także rozsądek, rozum i honor.

Czem była moralnie kochanka Szekspira, o tem naucza nas sonet, w którym poeta oświadcza jej swą miłość. Oświadczyny te, w swej nagiej szczerości. kłamanemi sentymentami nie zaprawionej, przypominają madrygały, jakie pisywał Wolter do współczesnych sobie kurtyzan:

„Niech inni przyznają się do sytości — ty zawsze łakniesz, chowając w piersiach żądze nieugaszone! Ścigając cię bez wytchnienia, pragnę i ja na sznur miłostek twoich swoją miłość nanizać.

„Pragnieniami swemi ogarniając tak wiele, pozwól, aby choć raz jeden nasze żądze zmięszały się społem. Czyż zawsze serce twoje będzie łaskawe dla innych i nigdy moich pragnień promieniem łaski nie udaruje?

„Ocean, choć pełny wody. wchłania w siebie chętnie ulewę deszczową, i tym razem, żądz pełna, dodaj do nich kroplę mojej żądzy i miłość swą. tak szerokie zakreślającą koło, rozszerz bardziej jeszcze.

„Nie daj się pokonać tłumowi zalotników, pięknych i szpetnych, ale powiedz sobie, że wszystkich zamknąć w sobie może jeden, i tą wyłączną żądzą udaruj — Willa!“

Miłość, która Herkulesa sadza przy kołowrotku, wywarła swój wpływ miękczący i osła-

biający i na tego olbrzyma. Jak człowiek dojrzały, rozmawiający z dzieckiem, stara się zdrobnieć ciałem, mową i umysłem, tak i Szekspir, w roli kochanka, zdrabnia swą postać tytanową, i z Williama staje się — Willem. W tem dobrowolnem zestąpieniu z wyżyn, na poziom ogólno-ludzkich uczuć i namiętności, jest coś niewymownie słodkiego, coś, co przypomina miłosne odwidziny, składane ziemiankom przez Jowisza.

I czy wiecie, czem się ta, z milionów wybrana, wypłaciła za doznany zaszczyt kochankowi?

Zdradą.

Czy wiecie, co na gruncie tych uczuć, tak świetnych i gorących, dla poety wyrosło?

Rozpacz.

Wymagał to zresztą naturalny porządek rzeczy. Trudno stworzyć parę harmonijną z zalotnicy i człowieka z sercem. Jak samica pająka pożera samca, tak i te istoty, pogański kult Astarty wyznające, tępią instynktownie wzynawców miłości uduchownionej.

Nóż, którym ta Lais XVI wieku przebiła serce poety, był zatruty. Nietylko sprawiał ból i ranę zadawał, ale wprowadzał jeszcze jad do całego organizmu. Człowiekiem, dla którego kochanka zdradziła, był — serdeczny jego przyjaciel!

„Okrótna! — wykrzykuje Szekspir w jednym z sonetów, zaprawionych już goryczą doznanego zawodu — nie wystarczało ci to. żeś mnie w szpony swe pochwyciła; dziś już drugi *ja* w tej mocy się znajduje“...

Przez długi czas nie ma jeszcze świadomości swego nieszczęścia. Zanim zdobył *pewność*, która obuchem ciężkim spada mu na głowę, doświadcza katuszy *podejrzeń*, które mu zwolna a nieustannie, jakby piłą drewnianą, rozszarpują mięśnie i nerwy. Na własnem sercu odbywa studja nad zazdrością, którą ma później odtworzyć mistrzowsko w „Otellu“...

Wyrazem tego stanu ducha jest sonet następujący:

„Noszę w sercu dwie miłości: jedna jest moją siłą, druga mojem potępieniem. Jak dwa duchy odmiennej natury. wabią mię one i pociągają kolejno ku sobie. Mój dobry anioł jest pięknym bez fałszu młodzianem; mój duch zły jest kobietą ubieloną i uróżowaną.

„Aby mię jaknajrychlej pochwycić do piekła, mój demon niewieści odsuwa odemnie dobrego anioła i, prześladując niewinność jego nieczystemi płomieniami, pragnie go uwieść, by zmienić świętego w szatana.

„Że mój dobry anioł stał się demonem, podejrzywam dopiero, ale na pewno twierdzić jeszcze nie mogę. Jednakże, gdy chcę być surowym dla samego siebie i stronnym dla każdego z nich obu, wyobrażam sobie, że dobry stał się już łupem złego.

„Ale ani jestem, ani kiedykolwiek będę zupełnie pewnym tego — i w wątpliwości strasznej żyć muszę dopóty, dopóki nie ujrzę mego dobrego anioła, strawionego piekielnym płomieniem.

Aby zmierzyć otchłań bolu, w jaki pogrążyła poetę zdrada kochanki, trzeba wiedzieć, czem był dla niego uwiedziony przez nią przyjaciel. Przyjaźń silniej jeszcze może od miłości serce jego rozpromienia. Blisko połowę sonetów poświęcił temu wyjątkowemu i wyjątkowo pięknemu uczuciu. Składają się nań pierwiastki rozliczne. Czułość ojca, ofiarność współtowarzysza, namiętności kochanka, pokora niewolnika — oto pojedyncze tony tego niezrównanego akordu. Młodzieńca tego — bo przyjaciel młodszy jest od poety — nazywa Szekspir naprzemiany swym „dobrym aniołem“, swem „słodkiem dziecięciem“ *(sweet boy)*, a wreszcie „lordem swego serca“...

Jak całe życie poety, tak i szczegóły, odnoszące się do tego stosunku, okrywa mgła tajemnicy. Kto był tym przyjacielem „na klęczkach“, rzec można, przez niego wielbionym? Na miejsce niewiadomego x podstawiają biografowie i historycy literatury aż cztery nazwiska. Kłębkiem, z którego każdy z nich nić przypuszczeń wysuwa, jest przypisane w pierwszej edycji sonetów osobistości zagadkowej, oznaczonej tylko inicjałami W. H. Najbardziej zbliżonem do prawdy zdaje się być przypuszczenie, że nieznajomym jest: Henryk Wriothesley, hrabia Southampton, magnat, odznaczający się niezwykłą urodą oraz rzadkiemi zaletami umysłu i serca.

Poezje.

Zima.

Szła szybkim krokiem, wspaniale i dumnie,
Zgłodniałe rzesze pędziła przed sobą,
Całą przyrodę okryła żałobą,
Żebracy przed nią uciekali tłumnie.

Miała na sobie lodowe okrycie,
Tysiącem pereł błyszczała jej szata:
Widocznie była wielka i bogata...
Cóż, kiedy innym odbierała życie!

Szła ciągle naprzód posępna, a ostra
Głodnym dawała za strawę — śnieg biały.
Na świat z niej trwogi cienie opadały...
Taką ta groźna — nędzy była siostra.

Szczęśliwi, którzy u swego ogniska.
W kochanych gronie, a w rozbracie z nędzą
Długie wieczory pośród zabaw pędzą...
Dla nich rozkoszą tylko zima błyska.

Lecz nieszczęśliwi, ci co dni tułacze.
Wedle trosk nowych, nowych cierpień liczą,
Dla nich posępną zima jest zdobyczą,
Ona im niesie tylko jęki, płacze...

Noc.

Sonet

Senną ziemię objęła noc piękna, noc cicha...
Księżyc swe migotliwe, srebrzyste promienie
Rozlewa po drzewach liściach, jak wody strumienie
I ciekawie zagląda do lilii kielicha.

A tam pod tą jabłonią, szepczą jakieś echa...
To pewno stęsknionego kochanka westchnienie,
Kiedy na myśl mu przyjdzie swej lubej wspomnienie
I przyszłe błogie życie i przyszła pociecha.

Wokoło panuje głuche, grobowe milczenie,
Niekiedy tylko w ciszy, na wysokim dębie
Zbudzone szmerem liści gruchają gołębie.

Pośród krzewów się jakieś przesuwają cienie...
Zaciekawiony księżyc szle ku nim promienie
Lecz nie może się przedrzeć przez liści sklepienie.

Z prawd zycia.

Dusza ludzka — to fala, która roztrącona
O wybrzeże skaliste w setkacha kropel kona.

Klemens Józef.